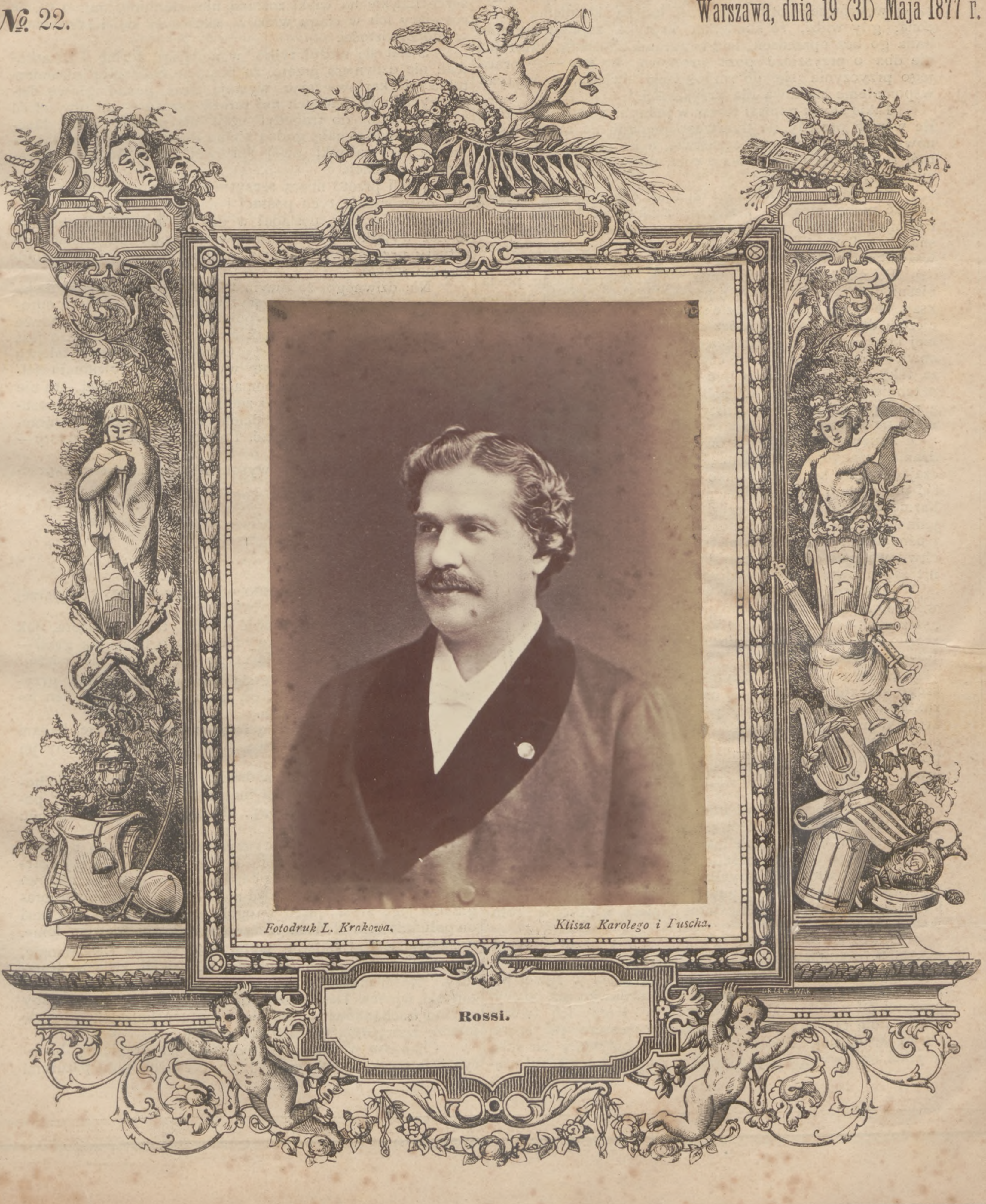
GONIEC TEATRALNY

PISMO ILLUSTROWANE POŚWIĘCONE TEATROWI, SZTUKOM PIĘKNYM I SPORTOWI.

WYCHODZI RAZ NA TYDZIEŃ.

№ 22. Warszawa, dnia 19 (31) Maja 1877 r.



Fotodruk L. Krakowa. *Klisza Karolego i Puscha.*

Rossi.

ROSSI.

— „Sława artysty trwa bardzo krótko, artysta schodzi ze sceny i sława jego zstępuje do grobu—artysta ginie razem z pokoleniem, które go znało. Potém błąka się tu i owdzie jego nazwisko — w końcu echo staje się nieznośném dla nowych pokoleń. Taka historya jest Garricka, Kean'a, Talmy, Modeny, taka będzie i moja—stokroć mniéj od tamtych znacząca. Jednak gdy aktor w swéj artystycznéj wędrówce spotyka mądrość ludzką ku niemu zwróconą, gdy widzi, że sumienna krytyka zajmuje się nim, bada go bez uprzedzeń, lecz ze sprawiedliwością, aktor już nie dba o przyszłość poza grobową, bo wie — że praca jego przyczynia się do rozszerzenia światła, a krytyka wspomnienie zachowa dla przyszłości.“

Takie słowa napisał Rossi w jednym ze swoich listów. Ile w nich prawdy, ile trzeźwego poglądu na zawód i stanowisko artysty w społeczeństwie, a ile przy tém szlachetnéj rezygnacyi i zrozumienia celu, do jakiego artysta dramatyczny zdążyć może!

Być tęczą na niebie sztuki i jak ona cudowną wstęgą wiązać niebo ideałów z ziemią, zachwycać ludzkie dusze i odbijać w sobie wszystkie barwy uczuć, a potém zgasnąć bez śladu i ustąpić miejsca innemu zjawisku, — oto wszystko.

Po malarzu zostanie obraz, po rzeźbiarzu posąg, poeta pieśni przekaże straż swojéj pamięci,—aktor nawet największy, ze swoją sztuką kładzie się do grobu nienaznaczonego niczém dla przyszłości prócz wrażenia pewnéj garstki głębiéj odczuwających i wdzięcznych za kilka podnioślejszych chwil—znikoméj ułudy. I czyż warto dawać żywot cały za taką cenę, czy warto być tylko przeźroczem cudzego natchnienia, illuminować sobą kilka scen głośniejszych a potém z zapadnięciem kurtyny zginąć z przed oczu tłumów na zawsze?

Zapewne, że z téj strony patrząc na zawód artysty dramatycznego, cała znikomość występuje jawnie i odstręczająco. Ale kochając sztukę, ze stygmatem jéj wybrańca iść przed tłum jako kapłan, na ludzkich sercach wygrywać harmonijne pieśni uczuć, zadziwiać, podnosić, przerażać, do jednego tonu nastrajać dusze mas, być panem ich łez i uśmiechu, czuć tę własną siłę i przewagę choć tylko chwilową nad cudzemi umysłami, to warte więcéj trochę niż zagrobowa sława pewnych „zarobników przyszłości.“

Jednakże tylko wielcy artyści szukają w swoim zawodzie *takiego* zadowolenia; nie sama burza oklasków „szczerych—czy zwodnych“ jest ich zapłatą, oni wymagają zrozumienia, odczucia, — nie chcą jak ślepi bardowie śpiewać głuchym bałwanom.

Rossi w słowach zacytowanych na początku niniejszego artykułu, odsłonił się nam właśnie, jako wysoki charakter w dziedzinie sztuki, pojmujący inaczéj stanowisko artysty, pragnący przemawiać do serca i umysłu swoich słuchaczy; chociaż dźwięk jego głosu nie skamienieje dlań pomnikiem w przyszłości, — jemu wystarczy tryumf chwilowy, ale chce aby w tej jedynéj chwili był zrozumianym i ocenionym.

A czyż mogłoby być inaczéj? Chociaż znakomity artysta, jak jaśniejący meteor przemknął przez scenę naszą, choć tylko w kilku rolach mieliśmy sposobność podziwiać olbrzymi jego talent, ożeniony z potężną inteligencyą, w wysokiéj naturze artystycznéj, to przecież wrażenie pozostawione było tym upragnionym przez niego tryumfem i tą nagrodą, jakąśmy mu ostatni dopiero w Europie zgotowali.

Dzięki Rossiemu pięć wspaniałych kreacyi Szekspirowskich ozdobiło scenę naszego teatru.

Otello, Hamlet, Makbet, Lear i Romeo w żywéj postaci stanął przed oczyma publiczności, dawno już odzwyczajonéj od widoku takich olbrzymów. Kiedy ich twórca pisał swoje tragedye, świat nie miał jeszcze téj szaréj barwy co dzisiaj. Światła i cienie nie spływały ze sobą w jakiś ton wypłowiały i nieokreślony, człowiek był więcéj bohaterem do tragedyi, a serca w ludzkiéj piersi nie biły taktem nakręcanych zegarków, mierzących obieg krwi w pulchnie utoczonych ciałach. Burza namiętności i wulkaniczne uczucia wrzały jeszcze nieprzytłumione, rozkiełzane, w całéj swojéj potędze. Otello umiał dusić z zazdrości, Makbet mordować za królestwo, Romeo umierać przez miłość.

Moralność nie chodziła w szacie mniszki z zakrytemi wstydliwie oczyma i nie zerkała przez palce na powaloną przyzwoitość. Świat przez Szekspira odtwarzany niema w swojéj formie nic już wspólnego z dzisiejszym ustrojem. Koloryt jego za jaskrawy, chociaż kontury, jakiemi rysuje serce ludzkie na wieki zostaną niezmienione, mimo to, że rozmiary ich w ciągu wieków skurczyły się i zdrobniały w rzeczywistości.

Świat się ułożył tylko w mniejszą formę i ustatkował; nic dziwnego przeto, że postacie Szekspira nieśmiertelne, nie karłowaciejąc wystają teraz ponad głowę dzisiejszych ludzi, których ani teraźniejszość — ani przyszłość za bohaterów do tragedyi użyć nie potrafi. Lear, Macbeth, Romeo z całą godną siebie drużyną stoją dzisiaj na scenie, jako zabytki owéj śpiżowéj epoki ducha i charakterów ludzkich.

Jeżeli przeto miarą szczytnéj wielkości umysłu, była siła odtworzenia tych postaci i nadania im tajemnicy nieśmiertelności, jaką posiadał w dziedzinie sztuki Szekspir— to ileż wyjątkowych warunków wymaga od dzisiejszego artysty przedstawienie ich z możliwą prawdą i naturalnością na scenie.

Nic dziwnego, że owym tytanicznym zadaniom na jeden wiek zaledwie kilku koryfeuszów sztuki dobrze sprostać potrafi. Słuszną też zrobiono uwagę,—„że aktorowie rodzą się wyłącznie do sztuk Szekspira, a czas bardzo jest opatrzny w ich utworze.“ Oprócz ogromnego talentu i pracy, potrzeba im jeszcze wyjątkowéj indywidualności. Sama intuicya tak wiele pomagająca kiedy indziéj,—tu nie wystarcza, trzeba posiadać zdolność odczuwania i zrozumienia najsubtelniejszych odcieni natury ludzkiéj i łączenia ich w harmonijną całość. Potrzeba być obok artysty— głębokim myślicielem.

Jednym i drugim w wysokim stopniu jest niezaprzeczenie—Rossi.

* *

*

Pierwszą z kreacyi tego wielkiego artysty na naszéj scenie był Otello.

Kiedy przychodzi mówić o grze takiego aktora, jak Rossi—nie wolno wpierw wydać sądu o tém: jak grał?— nie zapytawszy wprzód: dla czego grał tak, a nie inaczéj?

U Rossiego nie dzieje się nic bez obmyślanéj przyczyny. Każdą rolę opiera on na motywach w jeden logiczny szereg zestawionych.

— Przedstawiając jaką rolę—mówi on o sobie, badam wpierw ogólnę naturę ludzką a potém dopiero cechy jéj indywidualne.

W ten sposób artysta dzielnie pomaga autorowi, chociaż często przesuwa się na inne niż oznaczone mu w pojęciu autora pole, jak to np. obaczymy przy omówieniu roli Hamleta.

Otello Szekspira, to tygrys wściekłą pianę toczący, pastwiący się nad gołębiem. Z uczuć ludzkich w téj czarnéj kosmatéj piersi, oprócz zazdrości nie dojrzysz niczego więcéj. Posiadać, a posiadać niepodzielnie—to jedyne pragnienie jego serca, jeżeli w ogóle zamiast niego nie nosi on południowém słońcem rozżarzonéj głowni w swém łonie.

Sam rodzaj śmierci, jakim mści się na Desdemonie, jest dostateczną charakterystyką téj dzikiéj, zwierzęcéj natury. Rossi inaczéj począł sobie odgrywając tę rolę. On zapytał wpierw Desdemonę, do jakich granic pozwoliłaby swemu kochankowi wyzuć się z natury ludzkiéj, aby się jeszcze wstrętnym dla niéj nie okazał.

Chamisso w swoich poezyach opisał tragiczną historyę dzieweczki „oblubienicy lwa“, rozdartéj jego pazurami

w dzień ślubu z innym. Przy trupie swéj ofiary lew upada z zwieszonym łbem smutny, przygnieciony, skruszony. Rossi swojego Otella zrobił takim lwem.

(D. c. n.).

FRAGMENT.

I.

Szczęśliwy! kto spi i nic go nie budzi,
A sen przyjemny ma.—Niech za dewizę
Te słowa służą.—Gdy podróż nie strudzi
I na wierzchołek Parnasu wylizę,
Zaśpiewam wielki poemat dla ludzi,
Kawałek serca swojego ugryzę,
Rzucę wśród tłumy, jeżeli ciekawi
Zobaczyć płacze jak—i jak się krwawi!

I chciałbym wtedy jak Argus stuoki,
Władzę widzenia mieć i przejrzéć tłumy:
Jednym otworzy usta śmiech szeroki,
Drudzy me słowa wezmą na rozumy
I nic nie dojrzą tam—jakieś potoki
Dźwięków czczych, pustych,—niepojęte szumy
Tajemnéj burzy w uczuciach pieśniarza,
Co więcéj śmieszy, niżeli przeraża!

Inni z niechęcią na bok księgę rzucą,
Lecz im na czole smutek pozostanie —
We własném sercu uczuciem się skłócą,
Dawny gmach marzeń przed ich duszą stanie,
Promienną twarzą w przeszłość się obrócą
Jak gdyby dawnym snom dać powitanie—
I smutne zwieszą głowy—bo zabawną
Rzeczą wspominać to—co przeszło dawno!

Dla czego dzisiaj w połowie méj drogi
Powracam do was wspomnienia promienne?
W wędrówce życia, jak tułacz ubogi,
Podnoszę łzami źrenice brzemienne;
I pędzę myślą gdzie rodzinne progi
Szukać chwil dawnych! Mary moje senne,
Złote rojenia i wszystkie sny wieszcze,
Przed duszą stańcie mi—raz jeden jeszcze!

Niech mię sennego czar wspomnień otoczy,
Gdy myśl zbłąkaną w przeszłości zanurzę:
Widzę kochanki szafirowe oczy,
Czuję jak pachną świeżo rwane róże,
Wonną girlandą spływając z warkoczy
Na białe łono w kolorów purpurze—
I widzę postać jéj—gdy nachylona,
Biała jak anioł spływa mi w ramiona.

O cicho! cicho! nie budźcie anioła—
Niech na méj piersi spi cicha, marząca
Niech nie odrywa ust z mojego czoła!
Bo gdy ją zbudzi łza serca gorąca —
Gdy wielką ciszę posłyszy dokoła,
Którą jęk tylko méj duszy zamąca
Duch się jéj zlęknie—zatęskni—zasmuci —
Z promieniem zniknie gwiazd—i już nie wróci!

To jeden tylko czar mojego życia
Gdy gwiazda wspomnień nademną zabłyśnie;
Gdy się ukaże z czarnych chmur owicia
I tęczą marzeń w obłokach zawiśnie.
To jeden tylko napój do wypicia,
Który mi w serce trucizną nie pryśnie,
Ust, piołunowym jadem nie napoi—
Lecz łzy osusza, rany duszy goi.

Bo gdy przeminie ten sen brylantowy
Niebo żałobnym skrywa się całunem,
Pierś tłoczy smutek posępny, grobowy,
Jak gdyby serce strzaskane piorunem
Słyszało wiecznie wrzask męczarń echowy;
Jakby piekielnych będąc mar piastunem
Chciało ostatnią łzę bólu wycisnąć—
Raz jeden tylko uderzyć—i prysnąć!

Jak duch żałoby z czołem smutku bladem
Szukam na ziemi siostry mojéj duszy,
Żeby cierpiący pójść za stóp jéj śladem—
A kiedy życie falę bólu ruszy
I serce nowym napełni się jadem,
Wierzyć, że ona ciężkie łzy osuszy,
Że stanie przy mnie jako anioł zbrojny,
Aż duch zamarzy—i uśnie spokojny.

Chciałem miłości!—Jako błyskawica
Zbiegła bogini ta, co sercem władnie,
Błysła i zbladła jak promień księżyca,
Który przed słońca promieniami bladnie.
Pragnąłem sławy! Nieszczęść nawałnica
Złamała życie—i umknęła zdradnie—
I nic z promiennych nie zostało widzeń,
Oprócz gorzkiego uśmiechu i szydzeń!

A kiedyś.... kiedyś w moich snach dziecinnych
Stworzyłem sobie świat jasny, uroczy
I tam widziałem ludzi—ale innych
Od tych, na których patrzą dziś me oczy...
Był pełen jasnych istotek niewinnych,
Pełen aniołów—róż;—zawsze ochoczy
Do czynów jasnych i szczytnych poświęceń,
Daleki kłamstwa i zdrad i zniechęceń!

Bo trzeba wiedzieć, że od urodzenia
Tajemna gwiazda świeciła nademną—
Może to była gwiazda przeznaczenia,
Jeśli wierzymy w tę zagadkę ciemną,
Która ma ludzkość wieść od pokolenia
Do pokolenia—tą drogą tajemną;
Po któréj idziem z trwożnem serca biciem,
A którą wszyscy nazywany życiem!

Może!... lecz jeszcze dziecięciem w kolebce
Kiedy nademną zabłysła różowa,
Zdawało mi się, że ta gwiazda szepce
Jakieś tajemne, jakieś wróżbie słowa —
I rajskie dźwięki brzmiały w méj izdebce,
I cała była światłem brylantowa —
I wtedy blada zbliżyła się postać,
Która kazała mi poetą zostać.

Pamiętam dobrze ja tego anioła,
Który się zbliżał do mojéj kołyski:
Światłości gwiazdę niósł u swego czoła
A kiedy mojéj kolebki był bliski,
Ze śnieżnej szaty wybiegły do koła
Jakieś promienne, jakieś jasne błyski—
I cały w światłość zamienił się prawie,
I zaczął mówić do mnie—coś o sławie!

Skłamał bezczelnie!—Dziś wróżbom nie wierzę!
Nie czuję w sobie ognia ani siły.
I chociaż nieraz ja modlę się szczerze
Żeby się dawne moje sny wyśniły;
I choćbym wszystko oddał dziś w ofierze,
Ażeby jeszcze je wydrzéć z mogiły
I dać im życie—powstaną i krzykną
W duszy mi głosem szyderstwa i znikną.

O! mój aniele dla czegoś się zjawił,
W duszę natchnienia wlałeś ogień święty?
Gdyś mi do pieśni sił nie pozostawił,
Gdy na dnie serca siadły zwątpień męty—
Czyś mnie na drogę cierpień błogosławił
I żyć kazałeś bez jutra?... Przeklęty
Bądź więc na wieki!.. i kładąc się w grobie,
Przekleństwo jeszcze raz ja poszlę tobie!

Ha! w tęskną wspomnień uderzyłem nutę—
Serce gwałtownie w piersiach się rozbiło;
Pierś zajęknęła, jak gdyby zatrute
Wzięła powietrze.—Spijcie pod mogiłą
Promienne szczęściem sny moje osnute,
Mrokiem zapomnień!... Ducha mego siłą
Już nie wywołam was więcéj, różowe—
Na zawsze żegnam was—bądźcie mi zdrowe!

Bądźcie mi zdrowe!... lecz jęknę za wami
Wieczną tęsknotą, jękiem skardze sprzecznym.
Dziś sam zostałem ze wspomnień marami,
Bez wiary w jutro, z bólem życia wiecznym—
Mięszam śmiech czasem z serdecznemi łzami;
Mięszam łzy czasem ze śmiechem serdecznym
I karmię serce wielkiem duszy łkaniem,
Truję się życiem i żyję konaniem.

Minął szał serca, jako dzień burzliwy—
Żar zgasłych uczuć pali pierś tajemnie.
Zamarła wiara w dzień jutra szczęśliwy
Lecz żądza szczęścia nie zamarła we mnie:

Pragnę!—choć w duszy jakiś głos fałszywy
Mówi mi jękiem—że pragnę daremnie...
A chciałbym jeszcze znaleść szczęścia trocha,
Kochać—jak serce poraz pierwszy kocha.

Chciałbym dziś tylko mieć gdzieś domek cichy,
I kochające jedno serce jeszcze—
I żyć spokojnie bez sławy, bez pychy.
Aż gdy mię zbudzą zmartwychwstania dreszcze
Hymnem anioła —porzucić grób lichy,
Z dawnego życia zawezwać sny wieszcze
I wszystkie mary—i gdzie mleczna droga
Ulecić z ziemi téj—i pójść do Boga.

15 *lutego* 1873 *r.*

Kazimierz Gliński.

PIĘKNA ROZWÓDKA.

NOWELKA

MICHAŁA BAŁUCKIEGO.

(*Dokończenie*).

— A, teraz pojmuję dla czego ci tak pilno — zawołał mąż gwałtownie. W głosie jego czuć było burzę, która wybuchnąć mogła z straszną siłą. Dama zażegnała tę burzę i rzekła:

— Dziecinny jesteś i śmieszny z tą twoją zazdrością. Jeżeli chcesz koniecznie— zostaję. Nie było po co wybierać się na bal na parę godzin.

Rzuciła wachlarz na stolik i usiadła na kanapie.

Mąż upadł jéj do nóg, zaczęły się przepraszania, przebaczania, całowania, horyzont małżeński miał się wypogodzić, słowa stawały się coraz pieściwsze, słodsze, a kwintesencyą téj zgody było, że pani postanowiła nie wrócić już na bal. Mąż usłyszawszy to nie posiadał się z radości—a ja z rozpaczy. Położenie moje, a raczéj stanowisko, bo stałem w ciasnych lakierkach które mnie paliły, nielitościwe otóż stanowisko moje, było coraz okropniejsze. Wyjść było nie podobna; ale znowu zostać całą noc w pokoju małżonków pogodzonych ze sobą było niepodobieństwem. Lada skrzypnięcie buta, kichnięcie, chrząknienie, mogło mnie zdradzić. Potniałem jak w łaźni od emocyi wszelakich i nie wiedziałem co robić.

Tymczasem mąż zastępując miejsce nieobecnéj Nastusi, zaczął żonie pomagać w rozbieraniu się. Przyzwoitość nie pozwalała już dłużéj zostać — wkradać się podstępem w tajemnice toaletowe i małżeńskie wydawało mi się świętokradztwem. Zdecydowałem się więc na krok stanowczy i korzystając z zajęcia małżonków, wybiegłem z za parawanu i rzuciłem się na oślep do drzwi, przewróciłem Nastusię, która właśnie wtedy wchodziła—zgniotłem nogą karafkę z wodą i nie zważając na te przeszkody puściłem się pędem przez korytarz na schody—na ulicę. I tam jeszcze nie czułem się bezpieczny. Nogi wprawiwszy się raz do ucieczki nie chciały ustać i niosły mnie mimo méj woli. Nie oparłem się aż w domu.

— A to ciekawa awantura—rzekł doktór odetchnąwszy swobodnie. Nie zazdroszczę ci jéj wcale. Słuchając cierpłem cały i straciłem oddech; cóż dopiero tobie dziać się musiało.

— Pierwszy raz wtedy poznałem, że mam serce, bo waliło we mnie jak młotem. Gdy ochłonąłem trochę, zacząłem spokojniéj rozważać całą tę historyjkę i wtedy mi przyszło na myśl, że ona może mieć najgorsze skutki dla owéj damy, któréj nawet nie znałem, ani widziałem. Ucieczka moja kompromitowała ją najokropniéj w obec męża i to do tego męża zazdrosnego. Ale powiedźcie cóż mi zostawało innego, jak uciec.

— Przepraszam pana — odezwał się Anglik seryo — był sposób daleko właściwszy wyjść z za parawanu, przyznać się do winy, opowiedzieć jak się rzecz miała i przeprosić. Byłbyś pan tylko siebie okrył wstydem, nie narażając honoru uczciwéj kobiety, która teraz może gorzko pokutuje za to.

— I pan sądzisz—odrzekł Staś, że mąż który był zazdrosny o jakiegoś wybladłego blondyna dla tego tylko, że zbyt narzucał się swoją grzecznością, uwierzyłby ujrzawszy młodego człowieka w pokoju swojéj żony, że przyszedł tam dla umizgania się do pokojówki?! Znać zaraz, że pan nie masz żony i że nie jesteś zazdrosny.

Anglik skrzywił nieco usta, co mogło znaczyć zarówno jałowy uśmiech, jak i urazę. Staś przypuszczał to drugie i dla złagodzenia szorstkiego trochę odezwania się dodał:

— Pomimo to uważałem za konieczne danie owemu panu wyjaśnienia, choćby mnie to nawet życie kosztować miało. Od niego zależało wierzyć mi lub nie wierzyć; ale moim obowiązkiem było oświecić go. Następnego tedy zaraz dnia wybrałem się do hotelu; ale widocznie nie było przeznaczenia, abym mógł coś więcéj zrobić w téj sprawie, — bo państwo ci wyjechali wcześnie rano. Nie byli nawet meldowani, gdyż zajęli pokój tylko na czas balu. Tak więc nie miałem żadnego środka do naprawienia mego błędu, który kto wie jak smutne mógł mieć następstwa.

Po ukończeniu tego opowiadania, Staś usiłował być smutnym i poważnym, gdy w tém zobaczył jakieś panie zajeżdżające przed bramę ogrodu.

— Moja ciotka i Melancia — zawołał ucieszony i pobiegł wysadzić te panie z powozu. Niebawem i nas wciągnął do towarzystwa swoich kuzynek; zrobiliśmy z niemi spacer na Panieńskie skały i zabawiliśmy się do późnego wieczora.

Tylko ów pan Jarzębski nie dotrzymał nam placu, nie przedstawił się nawet tym paniom i pod pozorem migreny wrócił wcześnie do miasta.

W kilka dni potém znalazłem się znowu w towarzystwie Stasia i doktora w strzeleckim ogrodzie. Był koncert muzyki wojskowéj — ogród przepełniony publicznością; po ścieżkach wystrojone damy, jak fala różnobarwnych kwiatów płynęły z szumem. Walc Straussa, szmery rozmów, brzęk talerzy, hałaśliwe wołania dzieci, tworzyły odurzający chaos, który nie był bez wdzięku.

Z trudnością dostaliśmy miejsce przy jednym stoliku na uboczu. Staś ciągle się kręcił, wstawał, rzucał oczami na wszystkie strony, upatrując znajomych; posyłał im ukłony i uśmiech. Naraz chwycił doktora za rękę zapatrzony w jeden punkt i zawołał głosem ożywionym:

— A! i ona jest tutaj.

— Kto taki?

— Nasza piękna rozwódka; — ale nie sama, z matką, jest z niemi jakiś mężczyzna. Widzisz, pokazuje się, że tam nie tak straszna klauzura, kiedy wpuszczono mężczyznę. Zdaje mi się, że musi być młody, wnosząc z ruchów—mówił dalej nie zmieniając swego stanowiska obserwacyjnego. I my podnieśliśmy się z krzeseł, aby przypatrzyć się pięknéj rozwódce. Ale jakież było nasze zdziwienie, gdy w mężczyźnie, który siedział przy niéj, poznaliśmy naszego Anglika. Wnosząc z nachylania ich głów ku sobie musieli być już na dość poufałéj stopie.

— A to nas podbiegł — zawołał Staś — no i bądźże tu szczerym i otwartym. Pokazałem mu drogę i skorzystał z tego, To ryba.—A zdawało się, że trzech zliczyć nie umie. O! nic z tego mój panie — ja pierwszy odszukałem tę gwiazdę, do mnie należy prawo własności. Zaraz go o tém przekonam.

— Co chcesz robić waryacie—rzekł doktór zatrzymując Stasia, który zabierał się iść.

— Pójdę się im przypomnieć z moją znajomością. Jeżeli on może, dlaczegoż ja nie. Ja mam dawniejsze prawa.

— Zkądże wiesz, że on nie ma dawniejszych.

— Nie może mieć żadnych. Wszak przed kilkoma dniami nie znał jéj jeszcze.

Nie było sposobu zatrzymać szaleńca. Byłby niewątpliwie poszedł i zrobił jaką awanturę, a przynajmniéj na-

rzucił się gwałtem tym paniom ze swojem towarzystwem, gdy na szczęście wstały od stolika i poszły w ogród. Anglik podał ramię młodszéj i poprowadził ją ku oranżeryi.

— Widzieliście? prowadzi ją—a! to niesłychane zuchwalstwo—zawołał oburzony i pobiegł za niemi. Poszliśmy za nim z obawy, by jakiego głupstwa nie zrobił, dopędziliśmy go i wzięli w kuratelę. Rwał się gwałtem ku oranżeryi. Nie podobna go było wstrzymać od tego.

Koło klombu róż ujrzeliśmy Anglika z piękną rozwódką zajętego żywą rozmową. Twarz jego nie miała już owéj nieruchoméj, sztywnéj powagi. Odtajała w obec gorących spojrzeń pięknéj kobiety i ruszała się, mówiła nawet.

Stasiek podsunął się z nami tak blizko, że musiał nas spostrzedz. Nie zadziwił się, ani zmieszał. Skinął nam przyjaźnie głową i postąpiwszy parę kroków naprzeciw nas odezwał się uprzejmie:

— Panowie pozwolą, że was przedstawię mojéj żonie. I nie zważając na wrażenie jakie te słowa na nas zrobiły, wziął najprzód mnie za rękę i przedstawił. Następnie wskazując na Staśka i doktora rzekł z uśmiechem:

— Doktór B. i doktór N.

— Ależ ja panie wcale nie jestem doktorem— zaprotestował osłupiały Stasiek, który stracił w téj chwili całą przytomność i rezolutność.

— Jesteś pan nim — odrzekł Anglik boś mnie wyleczył z strasznéj choroby. I zwracając się do żony dodał: To właśnie ten pan, o którym ci wspominałem.

Piękna ex rozwódka podała Staśkowi rękę, chciałem powiedzieć rączkę, bo była maleńka, zgrabna, biała i rzekła przyjaźnie:

— Dziękuję panu. Wróciłeś mi pan moje szczęście i męża uzdrowionego. I spojrzała na uzdrowionego takim wzrokiem, który więcéj mówił, niż najwymowniejsze wyznanie. Stasiek tymczasem nie zaniedbał pocałować rączki, którą trzymał w swéj dłoni.

Pocałunek ten takie na nim zrobił wrażenie, że sobie ślubował potém solennie przez jakiś nie kalać ust swoich innym pocałunkiem, by sobie nie zepsuć smaku aksamitnéj rączki.

Odtąd przez pamięć na to cudowne uzdrowienie zazdrosnego męża, nazywaliśmy go doktorem. Kuracya jego jednak nie musiała być radykalną, skoro ów pan Jarzębski w parę dni potém wyjechał z żoną za granicę, nie pożegnawszy się nawet z nami. Być może, iż mu się przypomniało entuzyastyczne uniesienie Staśka, z jakiém mówił o pieprzyku jego żony i rozkosznych dołeczkach na twarzy i z obawy recydywy uwiózł swój skarb zawczasu.

Z ZA KULIS OPERY.

Ku pożytkowi debiutantek

spisał

Bywalec teatralny.

(*Dokończenie*).

III.

Dinorah. Operę pod tym tytułem przedstawiono po raz pierwszy w roku 1859 w Paryżu, w „Opera comique.“ Śpiewaczki kolloraturowe zwykły w niéj zdawać egzamin przed publicznością, traktując partyą tytułową w sposób koncertowy a tém samem nie troszcząc się zupełnie o charakter biednéj gór mieszkanki. Inaczéj czyni *Patti*, która wykazuje tu jak najdobitniéj do czego doprowadzić może głębokie pojęcie roli. Kończąc tych kilka drobnych uwag, pozwolimy sobie zatrzymać się nad postacią Dinory przez Patti uosobioną.—Opera sama mało ma przyjaciół: jednym nie wystarcza podziwu godna jéj technika, drugich nie zadawalają misternie obrobione szczegóły partycyi w obec chorobliwości całego dzieła, inni wreszcie zrażają się bezmyślném prawie librettem. A jednak ci wszyscy właśnie tłoczą się do sali na występ Patti w téj operze. I mówią, iż nuta po nucie, jest tu jakby dla Patti pisaną. Zapewne tak się wydawać może w obec pracy, którą śpiewaczka tu poniosła w ofierze dla mayerbeerowskiéj kreacyi. Potrafiła ona przedewszystkiem zastosować do całości swoją indywidualność. Na scenę wbiega młoda pasterka, dobroduszna, fantastyczka nieco, śmiała, naiwności zdobna kwiatem. Widzisz prawie, że dziecka tego matką i karmicielką las, przyjacielem koza biała, uciechą kwiaty i strumienie. Poezya wiejąca z téj postaci aż dusi!! Dopiero do tych zewnętrznych danych stosuje artystka głos cały; dźwięczy on tu, słodki, marzący. Nie podobna sobie wyobrazić osobliwszego uroku jaki ma głos ten rozlegający się między skałami. Ot! skacząc i trzepocąc się goni swoją towarzyszkę, kózkę białą. Ileż w piosnce jéj niecierpliwości, tęsknoty, niepokoju! Nie ma tu ani źdźbła przesady lub nienaturalności. Przytem, jako w pół obłąkana jest roztargnioną—ze śmiechu wpada w płacz, z płaczu w śmiech szalony! Nieraz przy tém ruch jéj lub spojrzenie jest prawie dzikie, lecz wnet czoło się rozpogadza i dziecinny uśmiech na usta występuje. Więc rozlega się kołysanka w G dur. Ileż czaru w tych czystych, włoskich tonach! Rulady przy tém jakby wychodziły z pod smyczka wprawnego mistrza takie równe, okrągłe. Zdaje się, że to Wilhelmy gra na straduariusie! Kołysanka nas rozmarza. Później o kilka taktów poczyna się walka z klarynetem, który śpiewaczka naśladuje; kończy numer kadencą, przez Mayerbera dopisaną. W kandency téj Patti sięga do trzy razy kreślonego E, chwyta je i jakby w tysiącznych tonach rozsypuje. Scena tańca z dudziarzem pełną jest brawury. Passaże nie brzmią tu jako koncertowe figle, lecz są one naturalną improwizacyą, wypływającą z psot i igraszek, wyprawianych z biednym Korrentinem. Akt pierwszy kończy się tecetem dzwonkowym. Kto raz słyszał w nim Patti — do końca życia pamiętać go będzie a kantylena „oh qual piacer“ nigdy go nie opuści. Najświetniejszym numerem Patti jest scena z cieniem. Próbowały się w niéj wszystkie znakomitsze śpiewaczki ale żadna z nich z pewnością dwóch pierwszych taktów tak jak Patti nie zaśpiewa! Każda tu nutka jak z marmuru rzeźbiona—blask tych tonów jest tak wielki, iż publiczność na następne arye mniéj zwraca uwagi. A jednak jest tu jeszcze legenda o zagrzebanym skarbie, krótka strofa ludowa, a warta by ją szekspirowska Ofelja śpiewała. Strofa ta w Es moll; nagle przy końcu występuje akord Es-dur a na tle jego rysują się trzy nuty es f g — trzy tony! jedne z najpiękniejszych jakie tylko ludzka pamięć zatrzymać może. Śpiew Patti jest w tém miejscu przygniatającéj siły; dźwięk tego G jest niepospolity, dziwnie rzadki... zda się światło to olbrzymiéj gwiazdy na rozjaśnionym horyzoncie! Następny tercet śpiewa Patti dramatycznie. W trzecim akcie scenę przebudzenia się gra Patti z przejęciem się i wdziękiem.—Niestety, takie w naturze zjawiska, jak mała ta włoszka, są tylko fenomenami i wieki czasem trzeba na nie czekać! Jest ona pierwszą śpiewaczką świata; a można by ją nazwać i... ostatnią z téj plejady, która wzrastając w rygorze Rossiniego i łącząc przy tém Belliniego „bel canto“ poddała się dzisiejszym wymaganiom dramatycznym.

DWIE BLIZNY.

Komedya w 1-ym akcie

Aleksandra hr. Fredry.

„Baba-samiec“—pani kasztelanowa, pędzi późne lata swego życia na wsi, w pałacyku, szumnie ochrzczonym „auzońskim zamkiem.“

Pod argusowem jéj okiem znajduje się młoda wdówka Malska, która zdaje się po to tylko na świat przyszła aby ją kochano.

Do zamku dostać się nie łatwo; jeśliś rumiany lub piękny wąsik masz, możesz tu tylko bratku popasać godzinę a potem... za bramę!

Wdówka—jak tego chce układ familijny może tylko zostać żoną sekretarza ambasady, Alfreda Tulskiego, który przez nią ani téż przez kasztelanowę nie znany, ma po „złote runo‟ przypłynąć aż z Neapolu.

Wiadomo o nim tylko tyle, że ma bliznę nad okiem.

Więc pani kasztelanowa, marzy tylko o tém, że zjawi się ów jegomość —jak jéjto przyjaciółka w liście doniosła, i podstępem wkradnie się za zamkową kratę dla zdobycia ręki pani Malskiéj.

Jakoż zjawia się młody człowiek... z blizną nad okiem.

Wprawdzie nie hymenowe wiodły go tu sprawy, lecz fatalną burza dachu szukać mu kazała, dzieje się jednak, że staje w zamku a przenikliwa i domyślna kasztelanowa widzi w nim Tulskiego, choć przybysz wymienia się jako kapitan artyleryi Barski.

Kasztelanowa pewna jest podstępu, więc grzecznością otacza młodzieńca i oczekuje tylko chwili zdjęcia maski.

W tém zjawia się drugi młody człowiek i także z.... blizną nad okiem.

Powóz zepsuł mu się w drodze, w taką mitręgę, więc nie pozostaje nic innego jak o schronienie prosić. Mówi iż nazywa się Skalski.

Kasztelanowa zastanawia się głęboko. A jest nad czém..; dwóch młodych ludzi i dwie blizny!

Ów Skalski nie jest jednak... Skalskim, jeno Tulskim młodym dyplomatą, tak samo jak Barski jest Barskim i dla tego tylko nosi miano Tulskiego, gdyż w przeciwnym razie kasztelanowa „baba-samiec“ długoby z nim nie ceremoniowała.

Rzetelny Tulski, widząc jak się kapitan kręci koło wdówki i zdąża do zajęcia wymarzonéj przezeń pozycyi, stara się za pomocą dyplomacyi rywala usunąć...

I ztąd tysiączne zawikłania, sceny przedniéj siły komicznéj jak np. walka żołnierza z dyplomatą, *qui pro quo* najzabawniejsze, ze sprytem i humorem Fredry zakończone.

Jest to obrazek pełen swojskiego kolorytu (datuje się zaś, jak to słusznie jeden z krytyków zauważał z epoki pojawienia się „kaloszy i samowarów“); nie idzie tu o zagadnień społecznych rozwiązywanie, chłosty w nim dla grzeszników nie masz ani dramatycznych wzruszeń.

Powtarzamy: jest to tylko obrazek, o mnóstwie komicznych sytuacyi, kunsztownie związanych i uderzających harmonią.

A jak kreślone są tu pojedyncze figury!

Ile dystynkcyi w pani kasztelanowéj— jak wspaniałą jest panna Figaszewska rezydentka ze swojem, „wszystko w porządku.“

Jakaż sztywność i chłód jaki w dyplomacie lub jaki jowialny humor i szczerość i wesołość w kapitanie?!

Rzecz trwająca półtory godziny w jednym ciągu, zajmuje widza do najwyższego stopnia i bawi go serdecznie.

A nikt już po genialnym Fredrze bawić nas tak nie umie!

Gra artystów była uczciwą; p. Szymanowskiemu jedynie nie powiodła się sylwetka kapitana artyleryi. Był to tylko szeregowiec, nie zaś wdzięczny, układny syn marsowy.

Tatarkiewicz w dyplomatycznéj skórze był wyśmienity! Trudno o więcéj smaku i elegancyi w téj rolce.

Kasztelanowa pani Niewiarowskiéj jednała sobie wszystkich sympatyė.

Wdówka gładką była rzeczywiście.

Pani Ostrowska z Figaszesi, echa kasztelanowéj, wydobyła wiele humoru charakteryzacyą, ruchami i recytowaniem roli. Epizod to wielce zabawny.

Cóż powiedziała na to wszystko publiczność?

Śmiała się... choć nie powiemy aby się jak należy w rzeczy téj rozsmakowała.

Dziwna! w małym Lwowku i w jeszcze mniejszym Kraka grodzie—zachwycano się „Dwoma bliznami.“

Ale nie zapominajmy, iż gust publiczności warszawskiéj do wiecznych należy zagadek.

—zc—

S P O R T.

Beduin-mołodoj. Najznakomitszym i najszybszym dotąd kłusakiem w Cesarstwie jest bez zaprzeczenia Beduin-mołodoj ogier kary, wzrostu $3^3/_4$ werszka, urodzony w stadzie S. D. Korobina w r. 1869.

Ojciec Beduin, dziad Burliwyj, pradziad Bystrolet (ze stada Chrienowskiego). Matka Usanicha, stada hr. Tolla, po Usanie synie Letuna 5-go (stada Chrianowski ego); baa Usanicha po Maszystym (stada W. J. Szyszkina); prababka Łowkaja po Achillesie (stada Chrianowskiego).

Beduin-Mołodoj pomimo niewielkich nagród dla kłusaków w Cesarstwie przeznaczonych, wygrał na różnych torach w Rossyi rs. 15,230.

Zasługuje na uwagę niezwykła szybkość tego konia, jakiéj dotychczas żaden kłusak nigdzie nie dokazał, a mianowicie: na wyścigach w Petersburgu w zimie 1876 r. dla ubiegających się o cesarską nagrodę, bieg wiorst 4, Beduin-mołodoj przebiegł tę przestrzeń w minut 7 i sekund 7; o nagrodę Jego Cesarskiéj Wysokości następcy tronu: wiorst 4, także w minut 7' i 7" przebiegł Beduin-mołodoj, pomimo iż stracił na drugiéj wiorście podkowę z lewéj przedniéj nogi; bieg cały odbył się bez zarwania w galop.

Stado p. Sergiusza Dmitriewicza Korobina, które tak znakomite jak Beduin-mołodoj produkuje konie, znajduje się w Riazańskiéj gubernii, w powiecie Michajłowskim, we wsi Korowinie, o wiorst 20 od stacyi Klekotok drogi żelaznéj Riażsko-Wiaziemskiéj.

Stado składa się z dwóch oddziałów kłusackiego i wierzchowego.

Oddział kłusacki dzieli się jeszcze na gatunek koni zaprzężnych i wyścigowych.

Oddział kłusacko-zaprzężny składa się z 30 klaczy stadnych i 4 ogierów; wyścigowy zaś z 10 klaczy i 2 ogierów. Oddział wierzchowy posiada 15 klaczy stadnych i 2 ogierów.

Oddział wierzchowy posiada 15 klaczy stadnych i dwa ogiery.

Ogiery (reproduktory) równie jak i klacze stadne, pochodzą ze stada rządowego w Chrienowie, oraz stad X-cia Orłowa, Kozakowa i hr. Tolla. Kłusaki gdy dojdą lat 3, bywają sprzedawane jednorocznemi kompletam handlarzom koni w Petersburgu i Moskwie; wierzchowe zaś nabywane są przez dworską stajnię w Petersburgu.

Wyścigi *w Wilnie*. W dniu 12 (24) maja 1877 r. podczas 3-go i ostatniego dnia wyścigow w Wilnie odbytych następujące konie wygrały:

1. Nagrodę głównego zarządu stadnin rządowych rubli 500 Mignon klacz gniada wł. p. Mysyrowicza.

2. Nagrodę głównego zarządu stadnin rządowych rubli 1,000 Thetis klacz.

3. Nagrodę Towarzystwa Handicap rs. 299 Newa klacz kasztanowata, własność p. Sona.

4. Nagrodę głównego zarządu stadnich rosłych rs. 500 bieg z przeszkodami Prim wałach kasztanowaty wł. księcia Oboleńskiego.

Wystawa koni. Podczas odbytéj wystawy koni w Wilnie w d. 12 (24) maja 1877 r. Komitet wystawy przysądził medal złoty ogierowi ciemno-gniademu Palmerstonowi czteroletniemu po og. Lord-Fitz-Herald krwi angielskiéj z klaczy berdyczowskiéj krwi arabskiej, własność hr. Maurycego Potockiego.

Medal zaś srebrny otrzymał ogier gniady Pimliko czteroletni, po ogierze Lord-Fitz-Herald krwi angielskiéj z klaczy „Wołynka“ krwi arabskiéj własność hr. Maurycego Potockiego.

Oba nagrodzone ogiery pochodzą ze znanéj stadniny hr. Maurycego Potockiego w Horodnie gubernii wileńskiéj, lidzkim powiecie.

Klacze zaś z których się rodzą, pochodzą z arabów w Zahajcach dawniéj stada hr, Juliusza Dzieduszyckiego.

— W Chantilly dokonano w tych czasach wiele bardzo ulepszeń w celu udogodnienia ważenia żokiei i siodłania koni udział w wyścigach przyjmujących. I tak w Paddoku znajdującym się obok domku straży,

stanął budynek obejmujący 15 przegród (boksów). Tym więc sposobem będzie można spokojnie bez narażenia się na ścisk oraz ciekawych na wypadki, siodłać konie i od razu wyprowadzać takowe na tor wyścigowy.

Pawilon do ważenia podzielonym został na 3 części. Środek przeznaczonym został na ustawienie wagi i tam tylko sami właściciele koni będą mieli wstęp wolny.

Strona prawa przeznaczoną jest dla żokiei; tam także mieścić się będą reprezentanci prassy.

Strona lewa mieści w sobie bióro, oraz salę do rozpraw komisarzy wyścigowych.

Na przodzie gmachu umieszczoną będzie tablica z dwóch stron pokazująca numery koni wyprowadzanych na tor wyścigówy.

Co się tyczy toru, to takowy urządzonym został z takiém staraniem, że pomimo ciągłego galopowania na takowym, prawie śladu nie ma ani wysileń koni, ani zagłębiania się i rozkopywania kopytami toru.

Nie od rzeczy tu będzie zwrócić uwage Szanownéj Dyrekcyi Wyścigów Konnych w Warszawie, na powyżéj wykazane ulepszenia. Możeby i u nas przy panujących ciągle deszczach i zimnach podczas wyścigów, jak tego mieliśmy dowody przez lat kilka, warto urządzić rodzaj choćby prostéj szopy, z kilkoma boksami do siodłania koni i wagą pod dachem. Szopa taka mogłaby służyć za schronienie dla koni podczas nawałnic i nie wystawiałaby tych biednych zwierząt na zaziębienie po odbytym wyścigu podczas padającego deszczu.

Waga zresztą pod gołem niebem przy ścisku i natłoku publiczności nie wiemy czy koniecznie jest dogodną tak dla ważonych jak i dla komisarzy do wagi delegowanych.

Dawniéj, przed laty kilkunastu wystawiano podczas wyścigów szopę drewnianą na placu wyścigowym, która służyła niestety nie na schronienie dla koni, ale była przybytkiem Gambrynusa, w którym posilała się służba przy koniach się znajdująca.

W tem samém miejscu gdzie dawna stała na wprost trybuny sędziów, możnaby wystawić tanim kosztem szopę dla koni, która godnieby odpowiedziała celowi, mieszcząc komisarzy od wagi, prassę, żokiei, konie i wagę, coby nader dogodném było; podczas deszczu i nawałnic prawie corocznie wyścigi nawiedzających.

— W znanym sportowym amerykańskim dzienniku „Spirit of the Times" znajdujemy bardzo słuszne rekryminacye doświadczonego trenera przeciw nieracyonalnemu obchodzeniu się i leczeniu koni wyścigowych, które tu dosłownie podajemy.

Błędy w trenowaniu oraz o sposobach obchodzenia się z końmi wyścigowemi.

W czasie obecnego sezonu zauważyłem wspólnie z kilkoma kompetentnemi w tym względzie znawcami błędność w traktowaniu patologiczném koni wyścigowych. Mianowicie zwrócił uwagę moją wypadek, któryby mi i przez myśl nie przeszedł, gdyby nie ta okoliczność, że zwrócono się do mnie wprost abym wziął konia pod obserwacyę i leczenie.

Koniem tym był źrebak wielkiéj wartości, który był trenowanym od 1-go stycznia do 1-go czerwca przez jakiegoś murzyna. Murzyn ten zamordowywał konia nadmierną pracą i dzikiém obchodzeniem.

Wysłano źrebaka na północ i oddano go w ręce człowieka energicznego, ale niemniéj pozbawionego elementarnych nawet wiadomości o trenowaniu koni. Doprowadził on to biedne zwierzę do dobréj kondycyi, ale gdy puścił na tor wyścigowy koń nacechowywał z początku. Po wyścigu okulawiał zupełnie tak, iż chodzić nie mógł. W skutek tego wsadzono go do bankardu, celem odwiezienia napowrót do domu; za powrotem noga spuchła i grubszą była 3 lub 4 razy jak zwykle.

Człowiek, któremu koń był powierzony, nie wiedząc jak sobie począć wtarł ostrą maść, która powiększyła puchlinę tak, że skóra ledwie nie popękała. Nie znając działania owéj maści, trener polał nogę zimną wodą, przez co bardziéj jeszcze zapalenie się wzmogło i zajęło całą nogę, a koń tak zesztywniał, że ruszać się nie mógł. Nie zważając na to trener używał ciągle zimnéj wody, dopóki skóra nie popękała; wtedy stan biednego konia stał się tak opłakanym, że ów pseudo-weterynarz zdecydował się nareszcie poradzić kogoś, aby złemu zaradzić.

Poradzono więc kąpać nogę w wodzie letniéj, ale po 2 dniach gdy nie było polepszenia i to zaniechano. Wówczas trener nabył następujące leki: laudanum, tynkturę arniki, sulfat cynku, cukier ołowiany, witryol niebieski, olejek lawendowy i jeszcze jakieś inne mixtury; zmięszawszy wszystko to razem z pewną częścią mąki, zrobił z tego kataplazm i takowym nogę aż do łopatki obłożył.

Z tym kataplazmem oprowadzał konia przez całą godzinę po słońcu, niezważając, że sznurek utrzymujący kataplazm przerżnął ściągacz u nogi i spowodował krwiotok.

Po spacerze zostawił biednego konia na słońcu podczas tropikalnego gorąca, a rojące się komary nie dawały mu spoczynku; trener zaś wraz z pomocnikami swemi robactwa nawet nie odganiali.

Groom bardziéj litościwy od innych okrył konia na noc derą, ażeby uchronić go od komarów; jednakże dera zamiast pomagać, była jeszcze ciężarem, bo noc była gorącą a termometr w cieniu wskazywał 90 stopni.

Źrebak w nocy broniąc głowy i uszów od robactwa, założył nogę za postronek od uzdziennicy i tak się splątał, że przewrócił się. Groom wchodząc rano do stajni ze zdumieniem wykrzyknął: „cóż to znaczy, koń usiadł na ogonie;" widocznie że w téj pozycyi biedne konisko noc przepędziło.

Nareszcie zdecydowano się poradzić weterynarza: ten przepisał odpowiednie środki, które zwolna goiły rany; ale to niedostateczném było dla trenera, który coś nowego znowu postanowił koniowi zaaplikować. Weterynarz poznał złą robotę trenera, bo koń o mało co nie zdechł w skutek danych mu lekarstw przez trenera.

Gdyby trener miał trochę doświadczenia, powinienby przed użyciem maści, starać się usunąć zapalenie, maść bowiem ostra tak samo jak i palenie, używają się wtedy, kiedy zniecznlenie nastąpiło.

Palenie równie jak i użycie ostréj maści są środkami zbawiennemi wtedy, gdy idzie o zajątrzenie części zniecznlonéj.

W zapaleniu gardła wcieranie ostréj maści jest dobrém jako środek przeciwny równoważący zapalenie, a zatém zapobiegający uderzenie, skoro zapalenie gardła jest wewnętrzne: i w tym razie stanowi właśnie wyjątek, wcieranie bowiem jest koniecznéem tam, gdzie jest opuchnięcie wraz z zapalaniem.

Pragnę tu pomówić o leczeniu sposobami gwałtownemi, niestety u nas używanemi; inaczéj mówiąc o nadużyciu palenia oraz ostrych maści, które od pewnego czcsu weszły w modę przy leczeniu koni krwi czystéj.

W wypadku powyższym opuchnięcie nogi powinno było być w sposób następujący leczone:

Wziąwszy chmielu, takowy naparzyć pod przykrywą wrzącą wodę przez pół godziny, późniéj w odwarze chmielowym, gdy takowy trochę ostygnie moczyć nogę koniowi przez godzinę; znowu dolać ciepłéj wody, ażeby odwar nie był za chłodnym. Po kilkogodzinnéj kąpieli, bierze się worek, napełnia go się przemacerowanym chmielem, i wkłada się weń spuchniętą nogę. Kataplazm ten powinien być trzymanym przez godzin kilka, a nawet i noc całą.

Ażeby kataplazm taki był ciągle wilgotnym, polewa go się ciepłą wodą; koń zaś powinien zostawać w spoczynku przez przeciąg przynajmniéj dni 4 lub 5, ruchu używać może tylko w klatce lub przegrodzie, w któréj go postawiono. Jak tylko puchlina zaczyna niknąć, zaprzestać należy kataplazmów oraz kąpieli, a nogę odkrywszy wystawić na działanie powietrza, które osuszając skórę oddziaływa w sposób gojący na ranę. W razie gdyby puchlina zwiększała się w nocy, dobrą rzeczą jest znana mixtura de Pond lub téż smarowanie niesprowadzające za sobą skutków wezykatoryi.

Wszelkiego rodzaju wcierania na częściach porosłych sierścią powinny być czynione bez użycia bandaży; użycie bowiem bandaży na wtartą maść sprowadza téż same skutki jątrzące co i wizykatorya.

W tych razach najlepszym środkiem, który z wielkim skutkiem używałem jest sól, ocet i zimna woda; ale takowe bywają wtedy pomocne gdy puchlina i zapalenie znacznie się zmniejsza. Mięsza się $^3/_4$ litra mocnego octu z $^1/_4$ częścią wody, do czego bierze się łyżka soli. Mięszaninę tę przykłada się 3 do 4 razy dziennie, bandażując przytém nogę.

Gdyby koń, o którym mowa był leczony w zwyż wskazany sposób, właściciel byłby z niego korzystał przez rok cały; przez nieudolność zaś i brak doświadczenia trenera, koń ów był tylko ciężarem przez ten czas dla swego właściciela.

W poprzednich artykułach moich nadmieniłem już i raz jeszcze to powtarzam, że w żadném przedsiębiorstwie kapitał nie bywa tak silnie na szwank wystawionym, jak tam gdzie stajnia koni wyścigowych krwi czystéj, jest administrowaną przez ludzi nieumiejętnych, niedoświadczonych a przytém jeszcze upartych i zarozumiałych na swoją wiedzę.

Nietylko bowiem przez złe trenowanie i niesumienne utrzymanie pod względem fizyologicznym i patologicznym, konie wystawione bywają na utratę rzeczywistéj wartości, ale i właściciel onych zamiast korzyści i przyjemności, same tylko straty ponosi. (*Dalszy ciąg nastąpi*).

Wypadek. Oto zdarzenie znamionujące arcy zimną krew i nadzwyczajną przytomność umysłu u młodego chłopca.

W lesie w Compiègne 12 letni żokiej hrabiego Lagrange'a przejeżdżał wyścigowca pełnéj krwi; aż tu naraz koń niewiadomo czém przestraszony, rzuca się w bok i ponosi jeźdźca nie po alei utartéj dla konnych, ale pomiędzy drzewami, gdzie najstraszliwsze z jeźdźcem wyprawia harce.

Rzecz ta mogłaby się skończyć wielkiém nieszczęściem, gdyby nie nadzwyczajna przytomność chłopca, który w chwili gdy koń wysadził go z siodła, puścił cugle i w mgnieniu oka schwyciwszy się za gałęzie zawisł w powietrzu.

Koń o kilka kroków daléj śmierć znalazł, rozbijając głowę o dość grube drzewo; żokiej zaś bez uszkodzenia do domu powrócił.

Wypadek ten zakończył się stratą dobrego konia, ale życie człowieka uratowaném zostało.

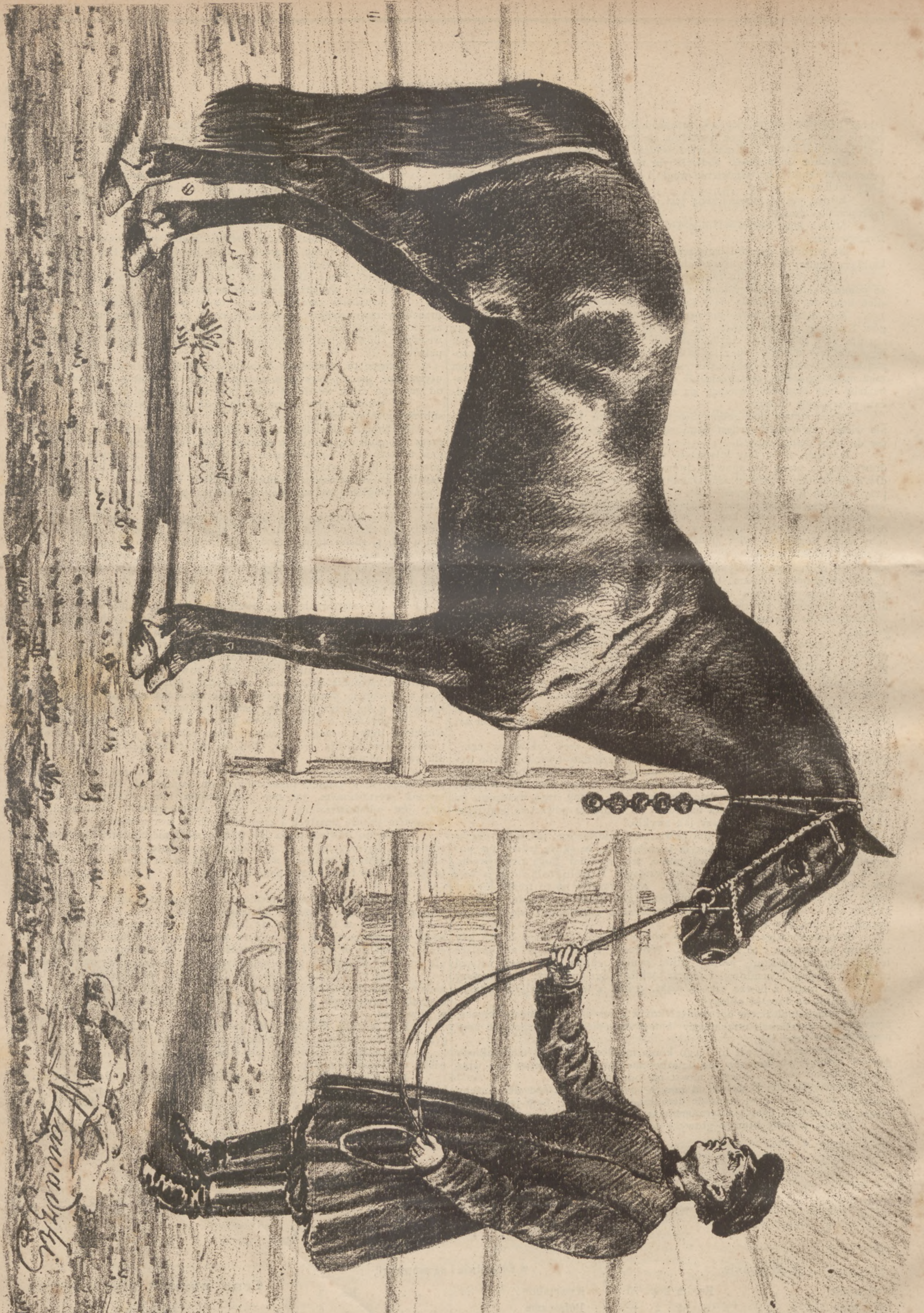
Przed laty 30-tu znakomity malarz Decamps w podobny sposób zabitym został przez swego konia; który rozszalały pędząc po lesie, rozbił sobie i panu swemu głowę o drzewo, gdzie též i natychmiastowa śmierć obydwóch nastąpiła.

J. N.

WARUNKI PRENUMERATY:

w Warszawie:		w Cesarstwie i na prowincyi:		Cena numeru pojedynczego kop. 20.
Kwartalnie	Rs. 2 kop. 50	Kwartalnie	Rs. 3	
Półrocznie	„ 5 „ —	Półrocznie	„ 6	
	„ 10 „ —	Rocznie	„ 12	

176



Bednin Molodoj najszybszy dotąd kłusak w Cesarstwie, pochodzący ze stada własnością p. S. D. Korobina będącego.

Redaktor i Wydawca **Józef Naimski**. — Дозволено Цензурою, Варшава 19 Мая 1877 г. — Druk **J. Ungra**, Warszawa, Nowolipki,

Redakcya i główna ekspedycya w Warszawie w kantorze drukarni J. Ungra, Nowolipki Nr. 3.